

Jan Michalski: „Zielone oko”

Prezentujemy jedno z opowiadań z tomu prozy poetyckiej „Duchy opiekuńcze i przygodne” autorstwa Jana Michalskiego, który chcemy wydać z Państwa pomocą.

Mama kupiła paczkę kawy Santos w konsomie i trzy ciastka tortowe u Kaczmarka. Jedne dla Ciotki Gustli, jedno dla Ignacego, a trzecie zjemy się na pół. Musiała je kupić, bo nie miała czasu upiec sernika, zgodziła się w Centrali na zastępstwo koleżanki. Poszedł z nią bez szemrania, bo wiedział, że zostawi mu prawie całe. Ale pod jednym warunkiem. Jaki to warunek? Te z galaretką truskawkową. Dobrze. Dzisiaj bydymy się wędrować.

Nie było daleko, lecz okolica się zmieniała. Szli ulicą Bracką, która prowadziła przez most nad Rawą - patrzył przez chwilę jak blukała i wełniła się, paląc zieleń na brzegach truciznami. Pod mostem biegły rury ciepłownicze z których zwisały strzępy izolacji z brudnej waty szklanej. Po prawej widać było bocznicę kolejową i otwarte hale fabryczne Huty Baildon z szynami w ciemnościach, zdziczałe grusze i ostatnie chałupy dawnego przysiółka, wegetujące pośród warsztatów odwróconych tyłem do drogi. Ulica wiodła poza robotnicze osiedla, ku dzielnicy Dąb, z ładnymi kamieniczkami i kościołem okolonym drzewami, lubił ją. Naprzeciwko, za torami tramwajowymi, rozciągały się tereny Parku Kultury i Wypoczynku.

Szli lewą pierzeją – tuż za mostem wydeptano ścieżkę wiodącą brzegiem Rawy ku osiedlu dwunastopiętrowych bloków, postawionych kilometr dalej na łąkach, gdzie przez stulecia wypasano krowy. Minęli stary cmentarz, na którym rosły lipy i jawory, nieduży, schodzący z góry ku rzece. Kamienica z glazurowanymi cegłami w kolorach ochry i różu angielskiego stała na rogu Brackiej i Armii Czerwonej.

Wydadaj z nami „Duchy opiekuńcze i przygodne” Jana Michalskiego: dołącz do zbiórki środków na wydanie książki

Ciotka fumkała niczym wielka pani, choć mieszkali w pokoju z kuchnią i ausgusem na sieni, a nie we dworze z oficynami i ogrodem. Mówiąc ściągała usta, jakby kosztując marcepan, co pasowało do jej trudnowymawialnego imienia: Tantegustl. Ignacy patrzył prosto w oczy gościa i łagodnie się uśmiechał. Był jej drugim mężem, wybranym ze smakiem. Mocna głowa, stanowcze rysy, spokój silnego mężczyzny, o którego ramię można się wesprzeć. W młodości poszedł do Powstania. Nigdy nie nazywano go Ujkiem, tylko Starym Ignacym. Był to przydomek zaszczytny, znak ogólnego szacunku. Stary Sztygar, Staro Polska. Przed wojnami Ciotce Gustli powodziło się dużo lepiej, była damą urodziwą, czarnowłosą, czarnobrewą, o którą ponoć się strzelano, osobą zamożną. W przeciwieństwie do młodszego brata, Maksymiliana Kota, który wraz ze swoją liczną rodziną notorycznie klepał biedę. „Dwa stołki z jedną nogą...” - wzdychała w myślach, kryjąc troskę głęboko przed ludźmi.

Wizyta była kurtuazyjna. Benedykt nudził się jak mops, bo rozmowa toczyła się w języku niemieckim. Chyba tytułem pociechy, Ciota, człapiąc z nogi na nogę, wyjęła z szuflady bieliźniarki paczkę sklejonych dropsów i go poczęstowała. Tylko czasami padały jakieś

zdania po polsku i wtedy musiał domyślać się o co chodzi, ponieważ wzorem dawnej przyzwoitości miało to pozostać ukryte dla uszu dziecka. Buntował się głośno przeciwko temu obyczajowi, uważając go za straszne świństwo, co miało mieć skutek nieprzewidywalny - niemiecki pozostał dla niego świętym językiem domowych tajemnic i przez szacunek dla nich nigdy się go nie nauczył. Ciastko z galaretką wylądowało na talerzyku Tantegustl, która sama je sobie nałożyła, przyciskając do noża dużym palcem. Benedykt rzucił Mamie pełne wyrzutu spojrzenie, na co mrugnęła doń okiem.

Dziećmi Ciotki Gustli, najstarszej siostry Maksikota-fantasty, byli Alfred i Hilda, oboje przystojni w niebanalnym sensie. Głowy mistrzowsko ukształtowane dłońmi boskiego Wita Stwosza z Norymbergi: sklepione czoła, mocno zarysowane nosy, silne brody. Wysocy, z błyskiem i szarmem, niepowtarzalni. Alfred czał się od samego progu, by z największą powagą powiedzieć coś niemądrego, od czego wszyscy, po chwili ciszy, pękali ze śmiechu. Wówczas też się do nich przyłączał, rżąc jak jeleń, aż oczy wychodziły mu z orbit i musiał je obcierać z łez grzbietem kosmatej dłoni. Żona, śliczna Cila, patrzyła w niego jak w obrazek. „Szluknij się prędko trocha piwa, Alfred, bo dostaniesz szczukocki!”.

W tamtym czasie Benedykt zaczął interesować się radiem. W kuchni było już małe radio tranzystorowe, ale interesował go wyłącznie duży, stary odbiornik z zielonym okiem, który stał w izbie pod oknem. Orzechowa politura, materiałowa wyściółka, gałki z kremowego bakelitu, podświetlana tablica ze wskaźnikiem, cyframi i nazwami – był to stateczny i piękny mebel. Przyglądał mu się z szacunkiem, a kiedy rodziców nie było, kręcił gałkami i przełącznikami, wsłuchując się w

szemrania i piski fal. Moskiewskie kuranty, mazurek Chopina, londyński Big-Ben, Nowy Świat Dvořaka, dzwony katedry w Magdeburgu... A między nimi cisza radiowa.

Po włączeniu zielone oko rozjaśniało się powoli, czasem mrugało. Odkąd Benedykt zaczął chodzić na lekcje religii, zielone oko stało się jego mechaniczną modlitwą do Ducha Świętego. O trzeciej osobie boskiej nie było wiadomo nic pewnego. Duch Święty pojawiał się i znikał, co należało do jego natury. „Szum jego słyszysz, ale nie wiesz...”.

Ale nie wiesz. Wobec tego można było go uznać w zielonym oku. Benedykt czuł ukojenie i radość w tym wolnym, uznaniowym stosunku. Nie podlegał on żadnym, minimalnym nawet zmianom, wahaniom czy odkształceniom, zachowując stałość i dyskrecję przez wszystkie lata jego żywota. Był za to Stwórcy niezmiernie wdzięczny.

Hilda przysłała do nich na zaproszenie Ciotki Friedy, kiedy ta pierwszy raz przyleciała z Australii. Pewnego letniego popołudnia, gdy Benedykt w skupieniu wpatrywał się w zielone oko i ostrożnie obracał pokrętłem, wybierając po kolei zagraniczne stacje, usłyszał w kuchni ruch, zamieszanie i śmiechy. Mama uchyliła drzwi do izby.

– Byno, idź na chwila do kuchni. Ciotka Hilda chce się tu sebylc.

Na kilka dni przed powrotem, Frieda zdecydowała ofiarować pięknej kuzynce swoją dwuczęściową kreację kupioną w Rzymie za ciężkie pieniądze. Metalizowana satyna w złocisto-czarne pasy, czyli osa, jak

ochrzcił ją w myślach Benedykt. Góra bez rękawów i spódnica do kolan. Na biodrach pasowała jak ulał. Dobrze zbudowana osoba wyglądała w niej oszałamiająco. Gina Lollobrigida, ten styl - kobieta dumna i wyzywająca, za którą się szaleje. Plus Hollywood i Gregory Peck.

Puk-puk! Kiedy Hilda weszła z powrotem do kuchni, Mamę aż zamurowało. Patrzyła oczarowana, widział niemy zachwyt w jej oczach.

– Obróć się, Hildziu – poprosiła cicho Ciotka Frieda, w wielkim skupieniu światowej modystki. A kiedy Hilda się obróciła raz i drugi, zanuciła „My Little Yellow Basket” i zaczęła klaskać rytmicznie w dłonie

A-tisket, a-tasket

A brown and tellow basket

I send a letter to my mommy

On the way I dropped it

Wtedy obie zaczęły się śmiać i zakręciły biodrami w prawo, w lewo, potem jeszcze raz i jeszcze, udając że tańczą.

– G'me all your money – wycedziła Ciotka Frieda głosem grubym i niskim, nie wróżącym niczego dobrego. Po czym padły sobie w ramiona i mocno się uściskały.

– Też coś dla ciebie mam, Friduś. Możesz mnie obrabować – rzekła wesoło Hilda, sięgając do złotej torebki, wiszącej na oparciu krzesła. Z napisem: Lauder.

– To dla ciebie.

I wyciągnęła małe, pogniecione zdjęcie z ząbkowanymi brzeżkami.

– Dein Vater, meine Mutter und wir beide auf dem Grundmannplatz.

Am Brunnen im Jahr 1940. Mój Geburstag, pamiętasz?

Ciotka Frieda wejrzała na zdjęcie i nic nie rzekła. Znowu się przytuliły, dwie duże Kotki, tym razem na poważnie, ze zmarszczonymi nosami i błyszczącymi oczami.

A widok istotnie zapierał dech w piersiach, ponieważ Hilda była wspaniałą kobietą. Osa wydobyła jej osobisty czar i podkreśliła jego władzę. Elizabeth Taylor w roli Kleopatry, choć okazała, miała w sobie trochę papciowatej dziewczyny z amerykańskiego koledżu. Ciotka Hilda nie miała nic z koledżu. Jej styl był wyrafinowany, nie do podrobienia. Załęska Hałda - Coburg - Sevilla. Czesła się na modłę hiszpańską. Nad odsłoniętym, wysokim czołem, które dzieliły dwie podłużne kreski - znamię charakteru, włosy kasztanowo-błękitne upięte w wałek. A rozsypane połyskliwymi falami z tyłu i po bokach. Einen Tanz, bitte. Mogła mieć każdego mężczyznę, jakiego by zechciała. Była feerią światła.

Mężczyzna, który idzie w taką kobietę, robi krok w przepaść. Ale nie zawsze zdaje sobie z tego sprawę. Benedykt widział kogoś takiego, kto skoczył. Był to jej mąż, rębacz dołowy, Stanisław Górniok. Czy domyślał się, że to ona wybrała jego, a nie on ją? Czy było to widoczne dla innych? Asymetria ich stosunku musiała drążyć mu serce, kropla po kropli. Z latami zaczął bowiem widzieć coś, czego w żywiole młodości dostrzec zaniedbał – że Hilda była jego marcepanem, życiem ponad stan.

* * *

Wszyscy oni muzykowali i śpiewali śląskie pieśni w drewnianym fińskim domku na Załęskiej Hałdzie. Ciotka miała wielki czarnowisniowy akordeon, kucąca pod ścianą, wyciągała go z futerału wyściełanego różowym aksamitem, kładła sobie instrument na kolanach, odpinała rzemienny pasek, przebiegała klawisze długimi palcami, rzucała im uśmiech i... zaczynało się. Szkoda, że nie mogliście tego zobaczyć. Górniok też przygrywał, ale na rozciągliwej harmonosce z demobilu, która wydawała prócz czystych tonów astmatyczne westchnienia. Tak muzykowali na dwa głosy, śpiewając razem z synami, którzy ładnie uczesani i ubrani uczęszczali na kółko muzyczne. Muzykalna rodzinka. Gości też obligowano do towarzystwa, więc śpiewali wszyscy, jak kto potrafił. Było bardzo wesoło. Ona w feerii świateł, on przy niej jakby w cieniu - wymęczony pracą na dole, szczęśliwy ponad miarę, strapiony. Cały czas na nią zerkał, jakby się bał, że może ten skarb swój utracić. Kiedy na chwilę o tym zapomniał, uspokajał się i rozjaśniał, to potem lęk wracał do niego wzmożony dwakroć i twarz mu uciekała. Tak muzykowali na święta Bożego Narodzenia wokół choinki ubranej anielskimi włosami, lametą i cieńkimi, kręconymi świeczuszkami. Hilda sama je wszystkie zapalała, najpierw klęcząc na ziemi, a potem stając na ryczce, a było ich chyba ze sto, mróz trzaskał za oknem, malował im na szybach fraktale, pękały gałęzie świerków w kochłowickim lesie.

Kling, Glockchen, Klingeling
Kling Glockchen Kling!
Laßt mich ein ihr Kinder
S'ist so kalt der Winter

Zaczynali zawsze od „Wśród nocnej ciszy”, po kolędach staropolskich śpiewali niemieckie, potem przychodził czas na repertuar lżejszy. Najpierw śląskie pieśni i piosenki. „Wszystkie pięknie wystrojone, chciałbym jedną mieć za żonę. Spodobała mi się ta, co na imię Hilda ma...”. Popisowym kawałkiem uszanowanej tym sposobem gospodyni była szalona kołomyjka „Jak żech jechoł do Gliwic” – każdy przy stole musiał odśpiewać z niej jedną zwrotkę.

*Jak żech jechoł do Gliwic, sztrudi ralla la,
Nie miołech piniyndzy nic, sztrudi ralla la...*

Po utworach tradycyjnych następowały piosenki estradowe. Adelę dręczyli przebojem Danuty Rinn i Bogdana Czyżewskiego „Adela juz zakłada suknię cienką, na wiosnę kwiatki soną i kwitnie miesiąc maj. Gdy spytasz ją, dla kogo ta sukienka? To dla kochasia, który odszedł w siną dal...”. Ciotka czerwieniła się i wściekała, ale co miała robić?

*W siną dal, w siną dal,
To dla kochasia, który odszedł w siną dal!*

W końcu dołączyła do chóru cała czerwona, zmieszana i roześmiana. Trzeba pilnie uczyć się wybaczać małe krzywdy, żeby móc wybaczać te większe, niewybaczalne.

Tata postawił ćwiartkę przepalanki, którą wieczorem poprzedniego dnia przyrządził z wywaru kminku i cukru. Z kuchni dobiegała rozmowa pełna skarg i napięcia. Benedykt przestał wsłuchiwać się w glissanda fal, ściszył głos, potem ostrożnie zgasił zielone oko. Górniok żalił się, że długo bez niej nie wytrzyma, że tak nie może żyć, że śmierć lepsza i się powiesi na dole, na upadowej, gdzie nigdy go nie znajdą, że dzieci... Zostawiła dwóch takich fajnych synków. I ten swój akordeon, Weltmeister Perle. „Tata, a kiedy mama przyjdzie? – pytają codzień. – Tata?”. Nie wie, co im odpowiedzieć. „Co im mam powiedzieć, Lila, Edmund, powiedzcie mi?”. Brzękło szkło. Słysząc było pociąganie nosem i „yyy”. Nie wie nawet, kaj poszła.

– Schrecklich! Płakoł, aż mu z nosa ciekło. – wzdrygnęła się Mama. – Jak chłop się ślimto, nie idzie na to patrzeć! Bez nijakiej godności, cołki zlechmaniony. To nie jest mężczyzna. Mężczyzna musi mieć w sobie godność! Schrecklich. – powtórzyła z naciskiem, odgradzając się od paskudnego widoku upadłego Górnioka.

– Cóż chcesz? – odparł Tata bez specjalnego przekonania. – Kobieta go odeszła. Jest jakby bez ręki.

– Uciekła od niego! Bo z taką miękką gruszką nie mogła dłużej wytrzymać!

Zdaje się, że to go zgubiło. Po przepalance Taty więcej się u nich nie pojawił. Mama mówiła prawdę – od Górnioka wiało gorzelnią, zlumpieniem, aszenbechrami kipów. Hilda go ciepła... Benedykt widział to jeszcze inaczej niż oboje rodzice. Przeczynał, że ich gość skarżył się, lamentował i lał ślęzy, gdyż coś w nim umierało. Widok był bolesny, bo człowiek ten doświadczał okrucieństwa losu bez nijakiej swojej winy. Po wielu latach, jako dorosły, taki sam dramat miał przeżyć u swoich

przyjaciół. Żal go przepęśniał, gdy słyszał lamentacje osoby, której miłość zabijano na jego oczach, jak żywego karpia gwichtem. Nie było dla niej ratunku ni słowa pociechy. Żywcem wyrwano jej serce, a robił to najbliższy, ukochany człowiek, któremu wszystko mogła wybaczyć. Zwierzęce wycie ofiary zapisało się w pamięci dorosłego, podobnie jak gorzki szloch tamtego hajera w pamięci dziecka. Nie ma rzeczy gorszej niż wiarołomstwo.

Benedykt wyobrażał sobie, że jak tamten zobaczył swoją żonę odzianą w złocisto-czarną satynę, góra bez rękawów, spódnica do kolan, to stracił do reszty spokój ducha. Zrozumiał, że ona już do niego nie należy, że na taki luksus to go nie stać. Stało się. Nie ma w tym niczyjej winy. Upokorzony wewnątrz, pełen niedobrych przeczuć, rozklejał się z dnia na dzień. Przychodził do domu z szychty pijany. Roz, drugi, trzeci.

*Raz, dwa, trzy,
Po gorzoła lecisz... ty!*

Pojął, że była jego życiem.

– Nie pij wody z kranu! – zawołał raz z rozpaczą, gdy wszedł do kuchni i zauważył, że przechyla głowę do tyłu, a w dłoni trzyma musztardówkę. Lubiła czasem pić gorzałę z musztardówki, jak mularze, czyli „golić”, jak mawiała.

– A co? – zaśmiała się tym asymetrycznym skrzywieniem warg wszystkich Kotek. – Chroboków dostana?

I to wystarczyło, żeby się posypał. Beksalala. Zgryzota, który go dręczyła, stała się widoczna dla innych. Zwieszał głowę, żeby unikac ich spojrzeń. "A co tam u Hildy?". Raz na dole podniósł rękę na najlepszego kumpla. Ale ręka była za słaba.

– Wyciepcie już tego grata na hasiok, Edmund, a kupcie sie nowego Grundiga. Teroz zaczęli takie produkować u nos na licencji. Z kieszenią na kasety magnetofonowe.

Alfa i Omega. Wypowiedzane tonem lekkim i życzliwym. Jaki sens się zastanawiać, rozpamiętywać, marudzić, wizja nowego Grundiga była czystą rozkoszą.

– Hubertku, a kosztuj sie kieliszek tego jarzębiaku – powiedział czule Tata i sięgnął do kredensu po flaszkę i dwie kieliszki.

Ujek spojrział na kieliszek pod światło i wlał zawartość do gardła.

– No, i co? – zaśmiał się Tata.

– Dobry trunek na frasunek.

– Zielono Góra.

Tym sposobem los radia został przypieczętowany. Ujek Hubert, trudniący się w ich dzielnicy naprawą radyj i telewizorów, wyjął z niego kilka lamp i złączy na użytek własny, szteker owinął drutem, resztę wyrzucono na śmietnik. Za starym radiem Benedykt nie tęsknił. W domu przybywało płyt gramofonowych, sporo nawiozła Ciotka Frieda: Ella Fitzgerald, Edith Piaf, Perry Como, piskliwy Acker Blick... Było mu natomiast trochę przykro z powodu pięknej Ciotki Hildy.

Wszelki ślad po niej zaginął. Ktoś widział ją podobno w Janowie na

taksówce. Ubrana w czarną skórę i kaszkiet, pod którym chowała bujne loki. Hilda Górniok, pierwszo taksjara na Górnym Śląsku. W oczy lepiej jej nie patrz, w przepaści lepiej nie skacz. Hej, ty, bo cię zawiodą tam, gdzie nie zechcesz!

Obejrzyj: Jan Michalski opowiada o „Duchach opiekuńczych i przygodnych”

Tata widział ją raz na Bytkowie.

– Cożeś ty robił na Bytkowie? Można wiedzieć?

Tata znalazł się na Bytkowie przesiadkowo, w trakcie podróży ze Świerklańca. Ujek Józek chciał mu pokazać nowy gołębnik postawiony własnymi rękami na ogródku.

– Ze Świerklańca jechołżeś przez Bytków? Cosik kręcisz.

Przyszło mu do głowy, żeby zjeść obiad w eleganckiej restauracji telewizyjnej. A bo co? Roz pooglądać się z bliska tych propagandystów, co nam robiom z mózgu Sauerkraut.

Mama się roześmiała:

– I cożeś widział?

Zamówił kiełbasę krakowską z wody, z bułką i musztardką, i miałe tyskie w kufelku, i siod sie przy oknie. Okno wychodziło na parking, na który podjeżdżały partyjne limuzyny.

Roz podjechała Krystyna Loska. Jak wysiadła ze swojego BMW, to wszyscy sie za niom oglądali, a jeden młody z brodą, długimi włosami, w biołej sutannie z koralami tak ci przed nią paradowoł i durś godoł, aż

nadepnął się na szłapa i przewalił na trowa. Loska trzasnęła szklannymi drzwiami restauracji i podeszła prosto do stolika Taty.

– Widziałaś cie bez okno i wala fest do ciebie.

Zapomnił języka w gębie.

– Nie poznożesz mnie, Edmund? Nie pamiętasz?

I siadła mu na kolanach.

– Jo sie sam zawsze biera peklowano golonka z podwójnym chrzanem, bratkartofle i seta. Chcesz, to ci postawia?

Tata z namysłem podniósł do ust niewidzialny kieliszek z zimną wódką, wypił i chuchnął. Mamą aż zatrzęsło.

– Pieroński giździe, bydziesz mie sam robił za bozna?!

Wszystko prowda, zaśmiał się, szczyro prowda, jak w telewizji. Ale jak siedziół tak przy oknie i kończył jeść swoja krakowsko, na podjazd zajechała taksa, stary moskwicz. Wskoczył z niej kierowca i otworzył drzwi pasażerowi, jakimś grubemu bonzowi, co wygramolił się z tylnego siedzenia z walizką. Potem oparł się o maska, wyciągnął z kapsy paczka cygaretów sie zakurzył. Czekał.

– I co z tego?

A jak sie zaciągnął porządnie roz i drugi, ściągnął skurzano mycka, potrząsł głową jak koń – o, tak – i na ramiona poleciały mu te kasztanowo-błękitne wele.

– Hilda!

W rzeczy samej. Moskwicza chce oddać na złom, szporuje sie na nowo zastawa.

– Czemu Hilda uciekła?

Nieraz chciał zadać to pytanie Mamie, ale nigdy się nie odważył. Tak wesoło było w ich fińskim domku. – No, jaa... te fińskie domki -

odpowiedziała mu wymijająco – i tak już szły do rozbiórki. Postawili je tymczasowo, a stoły prawie czterdzieści lot. Kopalnia miała w planach budować tam wielkie osiedle.

To prawda, fińskie domki wrychle przeminęły, podobnie jak familok w którym mieszkali, kamienica Ignacych z glazurowanymi ceglami i mnóstwo innych rzeczy, które pozostały tylko w jego pamięci. Może odpowiedź była jedną z owych tajemnic o których mówiono po niemiecku? A może Mama nie wiedziała? Winiłby za to chętnie rzymską osę, gdyby nie wpojono mu bardzo wczesnie przekonania, że piękno jest darem łaski. Obwinianie łaski byłoby wielkim nietaktem i logiczną sprzecznością, od której jego Mistrz złapałby się za głowę. Tego zaś nie chciałby za nic, za żadne skarby.

Ścieżki się rozwidlają. Mogła odejść, bo kogoś już miała. Byłby to nowy związek. Albo odeszła, by wieść samodzielne życie, zostać taksówkarką. Bez żadnych nowych zobowiązań. I dopiero wtedy kogoś poznała, bo jak kobieta czterdziestoletnia może żyć bez mężczyzny, szczególnie taka kobieta?

Ślad po niej się urywa. Urywa dramatycznie, możnaby rzec. Hilda niknie z ich życia. Cóż, życie składa się z tak wielu pożegnań, że można je niemal uznać za jego treść. Ale od czego zielone oko, Benedykcie? Odwagi! Trzeba tylko pokręcić bakelitową gałką... Uważnie, tak, pomalutku, polekutku.

- Hilda? Hildzia? To ty? To... wy?
- No, a kto?
- Jerzinie...
- Skąd masz zielone oko?
- Było w domu.
- Kto ci powiedział... kto pozwolił ci kręcić tą gałką?
- No...
- Pytam.
- Staro Ciotka Marta rzekła mi "strzeż duszy swojej".
- I co?
- Uczył mnie wiatr.
- Acha, wiatr! A mnie, wiesz kto mnie uczył?
- Fto?
- Bat.
- Dlatego zostałam taksówkarką w Katowicach? Że uczył cię bat?
- Bystry jesteś, jak na strażnika. Ale nie za bystry, ty... mały Maksikocie.
- Żeby uczył cię bat? Tak? Hildzia, powiedz, tak?
- Nie słyszę cię.
- Hildzia, powiedz. Po to, żeby cię uczył?
- Nie słyszę cię. Nic nie słysza.
- Gute Nacht.
- ...
- Gute Nacht.

Wiele kędy chce? To lekcja pokory dla największych zarozumiałców naszych czasów – ściślaków. Tego czynnika – kędy chce! – nie są i nigdy, przenigdy nie będą w stanie włączyć do swoich równań. A my, dzieci boże, może dlatego tak mało wiemy o zielonym oku. Co więcej możemy zrobić, jak nie usilnym staraniem, przemyślnie i sprytnie, spłacać Mu nasz dług? Bo „kędy chce” nie znaczy, że nie można Go w skrytości prosić – prowadź!

Jan Michalski

Opowiadanie zostało poddane korekcie przez Autora oraz zilustrowane wykonanymi przez niego zdjęciami